DZIEWIĘTNASTKA

przystań

Miesięcznik | Nr 182 08 marca 2020r.

Być albo nie być - oto jest pytanie - popularny cytat wypowiedziany przez Hamleta jest powszechny w kulturze do tego stopnia, że nie ma osoby, króra z Szekspirem by go nie kojarzyła. W tym miesiącu wyręczamy Hamleta w odpowiedzi, stwierdzając, że lepiej być, niż nie być. Serdecznie zachęcamy do lektury nowego numeru *Dziewiętnastki*, bo – stosownie do tematu marcowego numeru - lepiej przeczytać, niż nie przeczytać.

Redakcja 19

Hala targowa

Stoisko ze słodyczami to istny raj. Każde dziecko odpływa tu na chwilę do cudownej krainy, pełnej

niesamowitych przygód i przepysznych smakołyków. Kiedy się znajdzie w przestrzeni wyobraźni,

nie zawsze jest czas, aby wysłuchać zwykłego i nudnego świata, który został tam, na zewnątrz.

Dlatego dziewczynka nie zorientowała się, kiedy mama puściła jej rękę, mówiąc, że idzie kupić

warzywa. Została sama pośród nieznanych ludzi. Zupełnie nagle znalazła się w gęstym lesie

kolorowych płaszczy. Niestety żaden z nich nie miał czerwonego koloru, którego, przedzierając się

przez tłum niestrudzenie wypatrywała.

„A jeśli jej nie znajdę?" - pomyślała zmartwiona dziewczynka.

„Czy już na zawsze zostanę tu sama?"

Z rezygnacją usiadła na zimnym krawężniku. Zasłoniła oczy rączkami i zaczęła płakać. Zdążyła już

wymyślić prawie wszystkie możliwe scenariusze tej krytycznej sytuacji, kiedy zorientowała się, że ktoś

do niej podszedł. Podniosła głowę i niewyraźnie, przez łzy zobaczyła dobrze znaną jej twarz.

Natychmiast wstała i z całej siły przytuliła się.

— Mamo!!! Dobrze, że jesteś!

Bajka

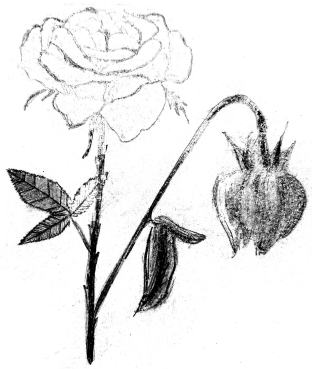

Dylemat Hamleta

Być albo nie być - oto jest pytanie.
Kto postępuje godniej: ten, kto biernie
stoi pod gradem zajadłych strzał losu,
Czy ten, kto stawia opór morzu nieszczęść
I w walce kładzie im kres?
William Shakespeare, *Hamlet*

Wszyscy bardzo dobrze znamy powyższy monolog, a przynajmniej jego początek - w końcu wymawiamy tę frazę naprawdę często. Jest wszechobecny w kulturze, zarówno w formie żartu, jak i filozoficznego pytania. Ile razy jednak zastanawialiśmy się nad tym pytaniem na poważnie? Muszę przyznać, że mi dotychczas się to nie zdarzyło. Choć prosto skonstruowane, stanowi prawdziwą tajemnicę, jak pytanie z "...jajko czy kura?" - tylko nieco bardziej skomplikowane.

Na pierwszy rzut oka można postawić na nie tylko dwie odpowiedzi: lepiej być/lepiej nie być. Jednak czy aby na pewno tylko dwie? Kiedy przyjrzymy się mu głębiej, zaczynają budzić się w nas wątpliwości.

Postanowiłam sprawdzić, jak z tym dylematem poradzą sobie inni. Wśród innych znajdowali się zarówno moja rodzina, jak i znajomi z najróżniejszych środowisk. Pozostawiłam ich z tym pytaniem bez żadnych sugestii czy kontekstu, choć niekiedy było trudno przez dociekliwość niektórych badanych. Ostatecznie odpowiedzią jednak zawsze było „Być" i, choć niektórzy potrafili wahać się dłuższą chwilę, odpowiedź „Nie być" nie padła ani razu. Co ciekawe, podczas gdy najmłodsi odpowiadali natychmiast, bez cienia wątpliwości, nie potrzebując dodatkowych wyjaśnień, starsi nie potrafili zazwyczaj się zdecydować, a stopień niepewności rósł wprost proporcjonalnie do wieku pytanego. Trzeba jednak przyznać, że te rozważania nie były głupie lub bezpodstawne. Najczęściej chodziło o znaczenie owego „być". Być można w końcu na wiele sposobów: być jako istota na świecie, czy chociażby być jakimś, na przykład być głupim, co wcale nie brzmi dobrze. A co z byciem kimś? Czy na pewno każdy z nas chciałby być niezdarą albo czyimś wrogiem? Tego typu rozważania można snuć w nieskończoność. W końcu sytuacji, w których da się użyć tego czasownika, jest naprawdę wiele. Pokazuje to choćby nasza polska gramatyka, a konkretnie struktura nazywana orzeczeniem imiennym, której „być" jest podstawą.

Najciekawsze stwierdzenie, z jakim przyszło mi się zmierzyć podczas przeprowadzania mojego eksperymentu, brzmiało mniej więcej tak: „Wydaje mi się, że lepiej być niż nie być.

W końcu zawsze można przestać być, jeżeli uznamy, że to nie to, natomiast jeśli nigdy nie będziemy, to nawet nie będzie szansy spróbować".

Co to właściwie znaczy? Niech każdy odpowie sobie sam po cichu. Ja już wybrałam: Lepiej być niż nie być.

Broniec

Ekfraza

Był późny wieczór. Londyn, niezwykle ożywiony tuż po zmroku,

powoli układał się do snu. Po wodzie Tamizy niosły się dźwięki sztuki -

odgrywanej w Teatrze Szekspirowskim – „Hamleta". Miejsce to łączyło

ludzi różnego pokroju ze sztuką – spotykali się tu arystokraci

i biedacy, połączeni jedynie zamiłowaniem do teatru. Czasem na

widowni zasiadał sam Szekspir. Wielogodzinne sztuki odgrywali

wyłącznie mężczyźni, uzdolnieni aktorsko.

Przedstawienie dobiegło końca i tłumy poruszonych widzów poczęły

wylewać się z teatru. Sztuka spotkała się z ogólnym uznaniem –

imponujące okazały się pojedynki

i nadzwyczaj realistyczna śmierć Hamleta. Tylko Szekspir kręcił głową niezadowolony – nie ujęła go

gra Ofelii – zbyt sztywno poruszała się po scenie.

Aktorzy wyszli na zewnątrz i głośno rozmawiając skierowali się w stronę pobliskiego pubu.

Wszyscy z wyjątkiem Hamleta, który głęboko zamyślony, grzecznie wymówił się bólem głowy,

pożegnał towarzystwo i ruszył, włócząc nogami, w przeciwnym kierunku. Szedł błotnistym brzegiem

Tamizy, wydeptaną, ale namokłą bitą alejką. Błoto kleiło mu się do butów i zabrudziło spodnie, ale

jemu to zupełnie nie przeszkadzało. Nad rzeką unosiła się lekka mgiełka, która skutecznie przysłaniała

ulubiony widok Hamleta – zniekształcone odbicia budynków Londynu w tafli wody. Uśmiechnął się

leciutko do siebie i odwrócił w kierunku terkotu przejeżdżającej nieopodal dorożki.

Po chwili ruszył dalej. Nie wiedział, co myśleć. Mistrz William znów niezadowolony. A przecież

tak się starali. Zatrzymał się przechodząc przez London Bridge i popatrzył na majaczące w półmroku

sylwetki miarowo kołyszących się statków. Pomyślał znów o „Hamlecie". Przypomniał sobie dzisiejszą

rozmowę z Ofelią, graną przez jego przyjaciela. Narzekał, że musi grać kobietę i nie potrafi tego

dobrze zrobić. Rzeczywiście w całej tragedii grają tylko trzy kobiety, ale jednak jest to duża strata dla

zespołu aktorskiego, ten brak kobiet. Gdyby tylko miały lepszą sytuację w dzisiejszym świecie.

Mogłyby się uczyć, pracować, nie musiałyby dbać o majątek swojego przyszłego męża, ani nawet

obawiać się o swoją przyszłość po jego ewentualnej śmierci.

Doszedł do bramy swojej kamienicy przy Magnolia Crescent. Pchnął ciężkie drzwi i wszedł do

domu.

Zmęczona, usiadła przy toaletce z czaszką Yoricka na kolanach i zapaliła świecę. Rozpuściła

włosy. Nareszcie mogła być sobą. Popatrzyła w lustro i zobaczyła swoją twarz w świetle tańczącego

obok płomienia świecy.

„Być albo nie być. Oto jest pytanie."

Powrócił do niej fragment tekstu, który tyle razy już wypowiadała, wcielając się w rolę Hamleta.

„Kim ja tak naprawdę jestem? Czy nadal jestem kobietą, grając mężczyznę i zyskując sławę jako

mężczyzna? Gdzie znajduje się granica kompromisu?"

Znów spojrzała w lustro i posmutniała.

„Lepiej być, niż nie być."

Pimpolia Picea

Ostatni telefon

Widziałeś kiedyś budki telefoniczne? Ojej, naprawdę?... Och... Ależ... Ja nie mam na myślitypowo angielskich wściekle czerwonych budek wyrysowanych na tle szarodzienności ostrymi,zadziornymi konturami. Mówię o żółtych pudełkach z powieszonymi na nich topornymi słuchawkami iwycięciem na monety. Już? Widzisz je? Zwykle okalały je właśnie one – budki – czasem w kolorystyce pasującej do pudełka, czasem w zupełnie od niej odbiegającej, a innym razem... Innym razem nie było ich w ogóle. A musisz wiedzieć, że budki miewają najróżniejsze fanaberie – zdarza się, że wolą nie być,

niż być. Na nasze szczęście telefony się tym nie przejmowały – tak czy siak to one są celem podróży, sednem sprawy i kwintesencją. Właśnie dlatego – w odróżnieniu od budek – zdecydowanie bardziej skłaniały się ku bytowaniu niż niebytowaniu. I mimo, że złota era budek telefonicznych przeminęła i niepodobna zliczyć ile wiosen temu odeszła ona w niepamięć, chciałabym opowiedzieć Ci pewnąniesamowitą historię (choć będzie wymagało to nie lada wysiłku, gdyż moje wspomnienia z wczesnych lat dzieciństwa ledwie zahaczają o budkowy temat). A zatem zrelaksuj się, zamknij oczy i posłuchaj...

Wiosna przeniknęła już prawie wszystkie zakamarki Krakowa, ale uparta Zima nadal dawała się miastu we znaki. Co jakiś czas miotała ze złością ostatnie przeszywające zimnem wietrzne strzały celowo kierując je w stronę zdezorientowanych mieszkańców, którzy z anielską cierpliwością znosili jej złośliwe wybryki. Każdy przecież wiedział, że Zima odchodzi i stąd jej humorki.

Tuż obok dosyć ruchliwej i poprowadzonej jak od linijki czteropasmówki stała budka telefoniczna. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że była to ostatnia budka w calusieńkim Krakowie (choć mało kto o niej wiedział, a jeszcze mniej osób mogło się poszczycić świadomością jej wyjątkowości). Cała reszta została już usunięta – nie spieszono się, zabierano je pokolei, powoli, ale sukcesywnie. Nie było to jednak typowo ludzkie, przesiąknięte czystą złośliwością zachowanie. Ludzie przerzucili się na telefony komórkowe i przestali budek potrzebować, a w miarę upływu czasu - zauważać. Dlatego gdy ich liczba zaczęła drastycznie spadać, mało kto zwrócił na to uwagę. A jeżeli nawet, to nikt nie wykazywał tym zbytniego zainteresowania. W końcu postęp wymaga zmian i poświęceń, co do tego nikt nie ma przecież wątpliwości.

Osamotniona budka stała sobie jednak dalej, aż do wtedy. Aż do tego zawirowanego deszczem

dnia, kiedy niespodziewanie została wyrwana z drętwego marazmu, w jaki wprawiło ją długotrwałe

bycie nieużytkowanym. Ale wszystko po kolei... O, zacznijmy może od momentu, kiedy budka trwa

jeszcze w nieświadomości, że w jej stronę zmierza podenerwowany, zupełnie wytrącony z równowagi i

nieświadomy kierunku, w którym zmierza, chłopak. Osamotniony chłopak.

Marcel, a raczej kłębek nerwów zwany Marcelem, przemierzał zamoknięty chodnik

zamaszystym, zdecydowanym krokiem i próbował nie zważać na pogodowe przeciwności losu.

- Cholerny telefon... Że też musiał się zepsuć akurat teraz - mamrotał wściekle, ściskając

nieprzydatne urządzenie w dłoni i wpatrując się w nie z agresją. Zupełnie tak, jakby przewiercający

komórkę nienawistny wzrok chłopaka miał tchnąć w nią życie. – Dlaczego ja w ogóle kupiłem taki

szajs?!* - marudził, przebijając się przez ścianę wiatru wiejącego – oczywiście – z kierunku, w którym

zmierzał. Szedł tak marznąc i wyklinając po kolei każdego człowieka mogącego mieć jakikolwiek wpływ

na jego nieszczęście. I kiedy już wydawało się, że pogrąży się zupełnie w otchłani nienawiści i

zgorzkniałości, kątem oka dostrzegł coś, co

sprawiło, że nagle się zatrzymał.

* Biedny Marcel nie wiedział, że telefon w wyniku upadku z wysokości czterech metrów i uderzeniu o wystający z rzeczki

kamień, może doznać pewnych obrażeń. I pomyśleć, że to wszystko przez te głupie kaczki, które postanowił uwiecznić na

zdjęciu. Aby zrobić fotografię idealną musiał wychylić się poza barierkę mostu...

Obrócił się i spojrzał oniemiały. Marcel nie mógł uwierzyć własnym oczom. „Przecież to niemożliwe" -

myślał. - „Czy... To zawsze tu stało?".

Przechodził tędy setki razy – latem, zimą, rano, wieczorem, przy lepszej widoczności, przy

gorszej widoczności, ze znajomymi, z... z Mamą, sam... A jednak. Przed nim wznosiła się dostojnie

najprawdziwsza budka telefoniczna! Choć ociekająca wodą, dosyć brudna i niezbyt okazała, ale to nadal

była budka. „Teraz wystarczy zrobić kilka kroków i będzie można się schować przed tą koszmarną ulewą

i wietrzyskiem. No i może... będzie można też zadzwonić? W końcu od tego są budki. Inaczej byłyby na

marne." Chłopak bez zastanowienia dopadł jej, zręcznie otworzył drzwi i gnany rozpędem, ociekający

wodą, z włosami przyklejającymi się do twarzy, gotował się właśnie do potężnego skoku i... gdyby w

tym momencie się nie zatrzymał, doszłoby do zderzenia. Marcel stanął jak wryty. Był zaskoczony nawet

bardziej, niż kilka sekund temu, gdy zobaczył budkę. „Nie, to się nie dzieje naprawdę" - myślał. -

„Mógłbym przysiąc, że dosłownie chwilę temu nikogo tutaj nie było." Ale jednak. Centralnie przed nim

stała młoda, elegancka dziewczyna. Jej ciemne, krótko obcięte, puszyste włosy okalające jej delikatną,

jasną twarz w ogóle nie były przemoczone lub choćby wilgotne. Wyglądały tak, jakby ich właścicielka tu

mieszkała i nie wychodziła ze swojego bezpiecznego domku od kilku godzin ciągnącej się ulewy. Ubrana

była w długi, skórzany, opalizujący, prawie sięgający ziemi płaszcz z kołnierzem ułożonym wokół

smukłej szyi. Stała pewnie, w pozie zwanej fachowo kontrapostem, jedną rekę – z czerwonym parasolem

na przedramieniu - trzymała na biodrze, drugą przyciskała do ucha słuchawkę telefonu. Jej twarz – z

wybijającymi się na tle jaśniutkiej karnacji dużymi, chłodnobrązowymi acz żywymi, pełnymi blasku

oczami i zawadiackim uśmiechem wyrażała zaciekawienie z domieszką zaskoczenia, lecz można się w

nich było dopatrzeć równi...

- Pardonne-moi monsieur, un instant, za chwilkę wrócę – perlisty głos dziewczyny – specyficzna

przeplatanka polskiego z francuskim - rozbrzmiał w budce, rozlewając się w ciszy niczym morska fala.

Nie spuszczając wzroku z Marcela, telefonująca powoli opuściła dłoń ze słuchawką i uniosła brwi w

pytającym geście, uśmiechając się przyjaźnie. Biedny chłopak dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez

kilka chwil wpatrywał się intensywnie w dziewczynę, wręcz lustrował ją wzrokiem, a od chwili

spektakularnego wejścia do budki nie odezwał się ani słowem. Zawstydził się jak nigdy dotąd. Jak

zwykle spotykał najodpowiedniejszych ludzi w najmniej odpowiednich momentach. „Tak naprawdę... To

nie mam do domu znowu aż tak daleko. Poza tym mogę zadzwonić też jutro z telefonu Kamila" -

rozważał pośpiesznie próbując się wykręcić z niekomfortowej sytuacji. Uznał, że najbezpieczniej będzie

natychmiast opuścić miejsce kolejnej porażki życiowej, by w samotności przetrawić palący wstyd (co

zresztą miał w zwyczaju – była to według niezwykle efektywna taktyka). Już, już kładł rękę na

klamce, gdy nagle usłyszał jej głos:

- Ależ monsieur! Niech pan zaczeka, s'il vous plait! Zmoknie pan do suchej nitki! Nie widzi

pan? Il pleut. Proszę zaczekać tylko chwilę. Un instant! I już oddaję panu słuchawkę, d'accord?

Monsieur?

- Yyy... Eee...Hmm...O-O-Oui? - Wybełkotał Marcel, przeklinając w duchu swoją dwóję z

francuskiego.

- C'est excellent, très bien! - Krzyknęła w zachwycie rozpomieniona dziewczyna, szastając

swoim perfekcyjnym francuskim akcentem na prawo i lewo. - Vous comprenez! C'est fantastique!

Pozwól w takim razie, że się przedstawię. Je suis mademoiselle Amelié, mów mi Amelia.

- Marcel jestem – odchrząknął.

- Oh! Marcél?! Oh mon Dieu, oh mon Dieu, niesamowite, nie do wiary – dziewczyna

wymachiwała słuchawką wykrzykując kolejne francuskie sformułowania. Coraz bardziej

zdezorientowany Marcel coraz mniej rozumiał co się dzieje. - Powinieneś z Nim porozmawiać! I to

immédiatement!

- Ekhem, ale... z kim? Z kim mam porozmawiać? - Chłopak nie był pewien czy nie zbłaźni się

tym pytaniem. Ekscentryzm i gracja emanujące z dziewczyny dawały przekonanie, że można było

spodziewać się po niej wszystkiego. Marcel zaczynał się obawiać jej reakcji i powoli miał tego dosyć. Nie

lubił niespodzianek i tajemnic – okropnie irytowało go to specyficzne uczucie niewiedzy, którego wtedy

doświadczał.

- z Nim. Przecież nie mówię po chińsku! - Zaśmiała się Amelia dobrodusznie, po czym zwróciła

się do rozmówcy w słuchawce – Oui, oui, c'est moi! Pardon?... Ah! Oui, il est ici, stoi koło mnie... Ach,

tak. Nie jestem tego pewna. Możliwe, że nie. Peut être pas. Oh! Il n'existe pas?! A mógłby mu pan

pomóc, monsieur?... D'accord – elegantka z uśmiechem podsunęła Marcelowi słuchawkę. Czekała, a on

się wahał. Nawiedził go niewytłumaczalny strach. Miał niewytłumaczalne wrażenie, jakby ta chwila

miała określić całą jego przyszłość, jak gdyby miała zaważyć na wszystkim, co miałoby się wydarzyć lub

nie. Wiedział, że powinien wziąć telefon – czuł to w kościach - ale równocześnie nie potrafił tego zrobić.

Amelia zastygła w oczekiwaniu, wstrzymała oddech, widać było, że chce coś powidzieć, ale – choć to

było ewidentnie wbrew jej naturze - milczała. Nie ponaglała go. Cisza wwiercała się w umysł chłopaka,

stawała się coraz głośniejsza, ledwie już mieściła się w budce. Nie mógł tego dłużej wytrzymać. Napływ

emocji rozsadził go od środka i Marcel eksplodował:

- Cholera jasna! Czego Ty w ogóle ode mnie chcesz?! Co to wszystko ma znaczyć?!„Powinieneś

z Nim porozmawiać", dobre sobie, phi! Nie

życzę sobie takich głupich żartów, zostawcie mnie wszyscy

w spokoju! - Wykrzyczał dziewczynie prosto w twarz emocje gromadzące się w nim przez ostatnie dni, a

z każdym kolejnym słowem coś jakby w nim pękało i poczuł napływające do oczu łzy. Czego w całej

swej złośliwości nie omieszkała oczywiście zauważyć ta piękna dziewczyna. Jej łagodny uśmiech i z

pewnością udawane zrozumienie w oczach rozdrażniły go jeszcze bardziej. Postanowił opuścić tę

parszywą budkę i parszywe towarzystwo dziewczyny tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Zanim pójdziesz... - powiedziała cicho elegantka bez trudu odgadując zamierzenia Marcela. -

Twoja Mama prosiła, żeby ci coś przekazać. Elle t'aime. I jest z ciebie dumna.

Rozwścieczony i rozżalony Marcel zacisnął zęby, zmarszczył twarz i opuścił budkę w niemniej

spektakularny sposób jak do niej wszedł, dodając na koniec głośne trzaśnięcie drzwiczkami, których

szklana część zatrzęsła się niebezpiecznie. Zanurzył się znów w otchłani wiatru i deszczu, a oddalając się

wyglądał jak miotany falami statek, który opuścił bezpieczną przystań w czasie sztormu.

Amelia westchnęła głośno.

- Naprawdę miałam nadzieję, że tym razem się uda – powiedziała cicho do słuchawki telefonu. -

Może nie powinnam była mu mówić, że to Ty dzwonisz?... Oui, je sais, ale nadal czuję się winna. A może

nie powinnam była być taka... folle? Je suis désolé, bardzo mi przykro.

Amelia nawijała kabel od słuchawki na palec i kiwała głową, słuchając dobiegającego z niej głosu.

- Może to nie był dobry pomysł, żeby wspominać o Mamie? Oui, chyba się nie otrząsnął. En plus

– il ne croit pas, że Ona nadal jest, chociaż już jej nie ma. En fait... Je pense... Tak sobie myślę, że chyba

to Ona jest bardziej niż on. Przestał być kiedy uwierzył w to, że Ona przestała. Miałeś rację – comme

toujurs – il n'existe pas. Trzeba coś zrobić, żeby Marcél zaczął... być. Żeby zrozumiał, że lepiej być niż

nie być. I że... ça vaut le coup – warto!... Oui, Vous avez raison, monsieur. Też tak myślę. Wobec tego

czekajmy. Au revoir!

Marcel miarowymi krokami pokonywał chodnik starając się nie nastąpić na linie oddzielające od

siebie stare, popękane kawałki płyt. Lekki wiatr rozwiewał jego i tak już sterczące w nieładzie włosy, a

promienie prawdziwego niezimowego słońca oświetlały jego barczystą sylwetkę. Wiosna rozszalała się

na dobre i korzystała ze swoich rozległych możliwości przemieniania świata tak, by każdy mógł poczuć

Jej obecność i ujrzeć Ją w pełnej krasie. Nawet nerwowy zwykle Marcel nadstawiał teraz głowę ku słońcu

by poczuć choć namiastkę jego promieni i po raz pierszy od dłuższego czasu mógł powiedzieć, że czuje

coś na kształt spokoju ducha... Dostrzegł ją kątem oka. Stała tam nadal – brudna, toporna, lecz

nadal ona. Barocco. Ale tym razem nie spływały po niej ostatnie łzy wściekłej, odrzuconej Zimy, lecz

pierwsze łzy szczęścia Wiosny, która wróciła i rozlała na świat blask. „Jestem na miejscu" - pomyślał

Marcel. Delikatnie popchnął drzwi budki i niepewnie zaglądnął do środka. Wewnątrz budki nie było

nikogo. Uśmiechnął się smutno.

- Co ja sobie wyobrażałem? - Powiedział sam do siebie i wszedł do budki delikatnie domykając

za sobą drzwi. - Zachowałem się jak cham i prostak. Poza tym ona przecież nie mogłaby tu mieszkać –

zaśmiał się Marcel. - Chociaż kto wie? Amelia to ekscentryczna francuska dama. Na pewno nie mieszka

w zwyczajnym mieszkaniu w bloku.

Czuł się zawiedzony mimo tych logicznych wywodów, więc omiótł wnętrze budki pobieżnie, a

potem spojrzał przelotnie na zegarek i westchnął.

- No cóż. Chyba czas już na mn... - jego wzrok spoczął na czerwonej parasolce (un parapluie –

Marcel zaczął przykładać się do francuskiego) opartej o ścianę w rogu budki. Musiała należeć do Amelii,

to nie ulegało wątpliwości, ale... Jak to w ogóle możliwe? Przecież mógłby przysiąc, że nie było jej tutaj,

kiedy wchodził... Aha, no tak. Z Amelią było przecież tak samo. Podniósł parasol, okręcił go w około i

nagle ujrzał małą karteczkę przytwierdzoną do rączki. Oderwał ją, otworzył i przeczytał:

Mon cher Marcél!

Mój parasol jest pour toi, zachowaj go. Cieszę się, że postanowiłeś wrócić. Nie jest za późno.

Je te salue mon ami.

mademoiselle Amelié

PS. Zadzwoń pod ten numer – 762 341 098 – zrób to teraz.

I pamiętaj - ça vaut le coup!

Marcel złożył pieczołowicie karteczkę i włożył ją do kieszeni. Z innej wydobył monetę i drżącą

ze zdenerwowania dłonią wsunął ją do automatu. Spojrzał niepewnie na słuchawkę. „O nie. Nie tym

razem" - upomniał ostro sam siebie, bo z tyłu głowy od razu pojawiła się myśl o typowej zawsze dla

Marcela treści - „A może by uciec?...". Szybkimi, zdenerwowanymi i prawie zdecydowanymi ruchami

wykręcił numer i podniósł słuchawkę. Przyłożył ją do ucha. Palce chłopaka zbielały przez mocne

zaciskanie ich na telefonie i na rączce czerwonej parasolki.

Po drugiej stronie cisza...

O!... Ktoś odebrał... Jeszcze jeden głęboki oddech i...

- H-halo... ? - powiedział Marcel zająkniętym głosem.

Odpowiedział mu cichy, łagodny głos w słuchawce:

- Halo? Marcel?

- ...Mamo?

To już koniec opowieści. Co było potem? Jak zapewne się domyślasz, Marcel zaczął być.

Przekonał się, że to lepsze niż niebyt, w którym tkwił tak długo. Uznał, że warto - ça vaut le coup. No i

zaczął przykładać się to francuskiego. Tak na wszelki wypadek.

A chociaż ta historia wcale nie musiała mieć miejsca, nie znaczy to, że nie powinno się w nią

wierzyć. Dlaczego? Bo niezależnie od tego czy to wszystko kiedyś się wydarzyło czy też nie, jestem

dogłębnie przekonana o jej Prawdziwości. I mam nadzieję, że ty też.

Z pozdrowieniami dla Szanownego Czytelnika,
Ikar zwany Marcelem

Płomienie szkarłatne

Całe tłumy
Płomieni, skrzących się,
Falujących w rytmie bijącego serca.
Każde z osobna, w swoim rytmie
Powoli się spalających.
Migotały jak kobiety w szale i mężczyźni w ucisku,
Buchały ciepłem,
A były portretami tych,
co już dawno wygaśli.
W mroźnym powiewie zdmuchnięci.
Nad nią płaczę?
Nad sobą płaczę.
Żałuję...
Odwiedzałem je przez kolejne dni.
Przychodziłem się ogrzać,
Wracałem zimny.
Jak siostry miłosierdzia wskazywały mi drogę,
Oświetlały je swoim jak gwiazdy blaskiem,
Ocieplały jak zimowy promień słoneczny.
Wyprowadzały mnie za mury,
Lecz tam był ich niedostatek.
Wracałem więc i godzinami nasłuchiwałem
W milczeniu tych szeptów przeszłości.
Z czasem osłabnę i stanę się komparsem
tej dwuaktówki.
I one tu będą, wraz ze mną.

Mimoza

The Question

Well, zawsze lepiej jest być niż nie być. Tak by przynajmniej powiedział Kant,mówiąc (nieco topornie, nie wygładzając... brzegów), że to przecież nasz obowiązek - żyć.

Komu to sprawia przyjemność: bardzo miło, ale utrzymywanie się przy życiu staje się cnotą dopiero wtedy, kiedy w tymże życiu robi się mniej sympatycznie. Tu powinny rozlegnąć się fanfary rodem z podrzędnej gry na telefon wraz z wyświetlonym komunikatem: „Gratulacje [nick w mianowniku]! Właśnie osiągnąłeś obiekt: Cnota!"

Są też inne argumenty za bytem. Taki Parmenides na dobry początek. Śmiał on twierdzić, że niebytu wcale nie ma. Pomyliły mu się zaprzeczenia w zdaniu? Czy też odpowiadał przed nauczycielem i nie chciał w trakcie przyznać się do błędności powziętej koncepcji? Dziś trudno dociec. Wiadomo za to, że skoro próżni próżno szukać, to byt musi być ciągły, wieczny, nieskończony, jednolity, stały...

No tak, jeszcze sceptycy. Ale o zdaniu sceptyków da się powiedzieć tylko tyle, że prawdopodobnie lepiej być, ale być może, równie dobrze lepiej jednak nie być. Tacy byli zimni jak trup i nie obchodziło ich to ni w ząb (albo tak dobrze udawali - nawet nie drgnęli powieką - jak doświadczeni gimnazjaliści).

Arystoteles zgodzi się ze Schrödingerem: najlepiej to w sumie pośrodku. Nuda. Tyle, że to tak nie działa. Wystarczy wystawić nos z książek, żeby zobaczyć, że biedronka i śruba, dwa przykłady bytu, trudno utożsamiać. Niebyt za to - na pierwszy, drugi, dziesiąty rzut oka - dalej czujnie trwa w bezruchu. No cóż, lepiej już być, przynajmniej ma się jakiś wybór.

Jakiś człowiek, będący żartownisiem albo nie posiadający do końca piątej klepki (a tę lepiej posiadać niż nie), stwierdził kiedyś (a było to podobno w lutym roku Anno Domini 2020), że Augustyn mówił przecież: „Jak masz łaskę, to dobrze. Nie - to do piekła marsz. " Tak więc - ciągnął ów człowiek - jeśli się ma być, to tylko z łaską (łaskawie), a bez to lepiej już nie żyć. Cóż, pewną rację chyba miał jakiś człowiek.

Kartezjusz nie miał wątpliwości. „Nie ma wyboru. Strzeż się, bo jak już raz pomyślisz, że myśląc myślisz i że będąc jesteś, to już jesteś i już i nie ma rady." Czy to dobrze - nie dodawał, ale w sumie dlaczego by miało być źle?

Pascal lubił Kartezjusza, ale czasem tłumaczył go przed ludźmi. Ludzie lubili go bardziej, bo takim ludzkim człowiekiem był. Lepiej tłumaczył i nie utrudniał myśli twierdzeniami, jakoby tylko klarowne myśli się liczą (droga do myśli nie ma być prosta, tylko myśl klarowna, ot na przykład takie „szum" - prosta sprawa!). Rozjaśnił też kwestię „czy lepiej być niż nie być". Rozjaśnił tak, że rozchybotał trzcinę. Na to z kolei powiedział, że trzcina, która wie, że jest trzciną, to lepsza trzcina niż niedźwiedź, który nie wie, że niedźwiedziem jest. I dlatego człowiek wielkim człowiekiem był. I jest. I będzie chyba też, ale o tym już Pascal nie mówił.

Camus też się tak zastanawiał. Szturchnął go kiedyś kolega Sartre, trochę pozujący na twardziela, i powiedział mu z pewną miną:

- Właściwie to mam już dość tego. Słuchaj, może by tak poderżnąć? Gardło? Sobie?

Albert pomyślał chwilę, naskrobał sztukę (doskonały prototyp horroru skandynawskiego, horror algierski), w której główny bohater dobitnie ukazuje bezsens życia, pozbawiając życie jego poddanych sensu (a ich samego życia). A potem powiedział:

- No dobrze, koleżko, pisałem, ale twoje golfy, pozy, miny, gęby, to jednak nie dla mnie.

Potem powiedział głosem poważnego doktora Rieux w średnim wieku; surowego, miłego i sporo zmęczonego (ale to ani trochę poza, on tak chciał naprawdę):

- Lepiej jednak być niż nie być.

Wystrychnąć na dudka, ha!

Dalej nie sięga podręcznik do filozofii. Kiedy palę go spokojnie, gdyż zimy coraz cieplejsze i lata szkolne krótsze, kiedy palę go parę miesięcy przed maturą, dochodząc do słusznego wniosku, że więcej się nie nauczę, a pogańskie obrzędy lepiej odprawić niż nie (co wskazuje tylko na chorobę maniakalną umysłu, wiedzącego tylko, że lepiej zdać niż nie)

- podręcznik jęczy cichutko refrenik: „Oj, lepiej było być niż będzie nie być."

Szafran

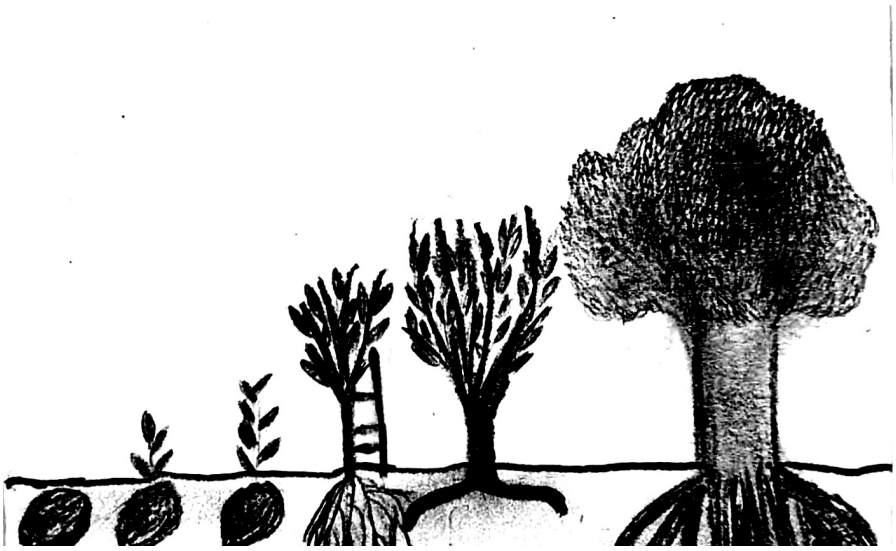

Prędzej dla przechodnia o błękitnych oczach

Prędzej zrazi go promieni blask
Słońca co po niebie toczy
Prędzej stanie twarzą w twarz
z mrokiem co tak dumnie kroczy
Prędzej skupi wszystkich ziem zwierciadła duszy
i przed nimi się puszy
Prędzej w tęczówkę oceanu skoczy
Niż spojrzy swojemu bratu
człowiekowi w oczy

Mimoza

Istota

Płomień świecy chybotliwy
Wiecznie niepewny
Wiecznie niecierpliwy
Śpiewa pieśń swoją codzienną
I szepcze cicho zagłuszany tykaniem zegara
Lepiej być niż nie być

Promienie słońca wieczornego
Jeszcze zachmurnego
Jeszcze czerwonego
Szemrzą cicho przebijając liście
I szumiąc nimi w przestworzach zieleni
Lepiej być niż nie być

Małe na szybie kropelki
Chwilowo cieknące
Chwilowo trwające
Spływają wolniutko w świetle księżyca
I cudownie spokojnie dobrowolnie
Bardziej są niż nie są

Młody

DZIEWIĘTNASTKA

Dominikańskie Duszpasterstwo Młodzieży „Przystań" przy klasztorze OO. Dominikanów w Krakowie

ul. Stolarska 12, 31-043 Kraków | redakcja19@gmail.com | przystan.krakow.dominikanie.pl

Opieka redakcyjna: o. Marek Rozpłochowski OP

Redaktorki naczelne: Natalia Zabdyr, Klara Piotrowska

Rysunki:Ania Węgiel, Asia Węgiel, Natalia Zabdyr

Teksty: Aniela Kołakowska, Klara Piotrowska, Michał Porąbka, Zuzanna Stawiska, Kinga Zazula,

Marysia Świerczyńska, Natalia Zabdyr

Korekta: Marysia Świerczyńska, Jadzia Wołek, Małgorzata Manado

Skład: Dominika Chaberka